

Piotr Zaccone

# Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

28

— Tak, przyznaję, że jest trochę późno na odwiedzin, ale muszę się dziś jeszcze widzieć z waszą panią. To, co mam jej do powiedzenia, nie mogę w żaden sposób odłożyć do jutra.

— Ależ moja pani nie przyjmuje nikogo po nocy — obruszyła się stara.

— Zapewne. Ale mam nadzieję, że dla mnie uczyni wyjątek i przyjmie mnie.

— Czy ona pana zna?

— Doskonale.

— Któż pan jesteś?

Lekkie zmieszanie ogarnęło na chwilę nieznanego, ale prędko zapanował nad sobą i odezwał się już zupełnie swobodnie:

— Kiedy mówię, że ja znam i ona mnie również, to powinno wystarczyć. Właściwie ona zna osobę, która mnie tu przysłała.

— Któż jest ta osoba? — indagowała dalej stara kobieta upornie.

— Panna Sylwia.

— Panna Sylwia? — powtórzyła, potrząsając głową ruchem niezdecydowanym. — No, zresztą pójdę do pani i pani sama zadecyduje najlepiej. Ale pomimo wszystko, bardzo wątpię, czy wpuszczę pana dzisiaj do domu. Jakże to mnie pan powiedział, bo już zapomniałam.

— Sylwia! — rzekł ostro podróżny, rozdrażniony wahaniem starej.

— Sylwia... Sylwia... — powtarzała oddalając się i mrucząc niechętnie pod nosem. — A no, zobaczymy... zobaczymy... Ale gdybym to ja była panią tutaj, to napewno nie narażałabym się i nie wpuszczała do domu po nocy pierwszych lepszych włóczęgów.

Szmer jej głosu ucichł w oddali i podróżny widział tylko błysk latarki, ginącej za drzwiami domu.

Usiadł na ławce pod murem i czekał.

Oczekiwanie to nie trwało długo.

Stara kobieta z latarką ukazała się wkrótce. Szła już szybciej, bez wahania. Podeszła do furtki, otworzyła ją i wpuściła nieznanego do ogrodu.

— Pani czeka — oznajmiła dosyć uprzejmym głosem, prowadząc go przez ścieżki i obserwując z boku przenikliwym, upornym spojrzeniem.

— A widzicie! — mruknął podróżny.

— To panna Sylwia, od której pan przychodzi, musi być wielką przyjaciółką mojej pani — mówiła dalej stara służąca, ciekawie badając wyraz twarzy nocnego gościa.

— Być może.

— Skoro tylko wymieniałam jej imię, moja pani zbladła, zerwała się szybko z kanapy i kazała pana natychmiast wprowadzić. Przyznam się, że się nie spodziewałam tego.

— A widzicie — powtórzył tylko nieznanomy.

— Czy one się dobrze znają?

— Bardzo dobrze.

— W Paryżu?

— W Paryżu.

Stara potrząsnęła głową.

— To szczególne jednak — wyrzekł — pani nie wspominała mi nigdy o tem.

— Oh! To mnie wcale nie dziwi.

— Dlaczego?

— Bo pewnie obawiała się, znając gadatliwość waszą, abyście to wszystkim nie rozpowszechnili — odparł spokojnie podróżny.

Stara rzuciła mu wściekle spojrzenie, ale nie odezwała się już ani słowem.

Nie było już zresztą czasu na rozmowę. Doszli byli do progu domu i stara energicznym ruchem popchnęła drzwi i zaczęła się ciężko wdrapywać na schody. Kiedy znaleźli się na pierwszym piętrze, służąca wpuściła nieznanego do niewielkiego saloniku i zamknawszy drzwi, odeszła.

W saloniku znajdowała się młoda kobieta. Siedziała w głębokim fotelu, oczekując widocznie na wprowadzenie gościa.

Lampa słabym światłem oświetlała pokój. Ale zaledwie nieznanomy postąpił krok naprzód, młoda kobieta zerwała się z fotelu, drżąc

i zmieszana. Zdumienie i lęk malował się na jej pobladłej twarzy.

— Paskal! — zawołała, wpatrując się rozszereżonemi źrenicami w przybyłego.

Paskal uśmiechnął się ironicznie i podszedł bliżej.

— Tak, Fernando — odparł wesoło — to ja, to twój biedny wuj, który przechodząc tędy, pomyślał o tobie i zapragnął cię zobaczyć.

— Ale dlaczego wszedłeś do mojego domu podstępem — oburzyła się młoda kobieta, odyskując już trochę panowania nad sobą — Dlaczego tu przyszedłeś w nocy, powołując się na imię znanej nam osoby? Nie wierzę, aby cię do mnie przysyłała Sylwia. To jest kłamstwo i ja w nie uwierzyć nie mogę.

— Masz słuszość, kochanko, chwyciłem się podstępem, bo nie bardzo liczyłem na twoją gościnność. Gdybym był powiedział tej starej wiedźmie prawdziwe imię swoje, lub że jestem twoim wujem, byłaby mnie pozostawiła za furtką, a ja chciałem koniecznie widzieć się z tobą i nie mogłem czekać, aż ty zapragniesz mojego widoku. Wiedząc więc, że długo musiałbym czekać na tę przyjemność, posłużyłem się podstępem i widzisz, moje kochanie, że dobrze na tem wyszedłem.

Fernanda słuchała z przerażeniem tego wyjaśnienia, wymówionego pozornie spokojnym głosem, ale pod którym wyczuwała doskonale złośliwą ironię i nienawiść niepokonaną, zdolną do ostatecznej zemsty.

Pomimo odwagi i energii lęk przejmował ją coraz większy i zapytywała się w duchu, jakie zachowanie ma obrać wobec tego człowieka, od którego tylko najgorszych rzeczy spodziewać się mogła.

Znała dobrze jego bezwzględny charakter. Zamordował ojca, mógł teraz łatwo zamordować córkę.

— Czegóż więc właściwie chcesz odemnie? — zapytała zduszonym głosem.

— Och! Nie wiele, moja mała! — rzekł Paskal, patrząc znacząco na starą służącą, która ciekawa i niespokojna, powróciła po chwili i stała niezdecydowana na progu pokoju.

Fernanda zrozumiała i dała jej znak do odejścia.

— Idź, idź, Marto — rzekła głosem, który starała się uczynić spokojnym. — Pozostaw nas, jeżeli cię potrzebować będę, to cie zawołam.

Stara jednak nie odchodziła, patrząc nieufnie na gościa swojej pani.

— No, dalej, wynoście się! — zawołał brutalnie Paskal. — Czy myślisz, stara wiedźmo, że przyszedłem tu zamordować moją siostrzenicę?

Stara przeżegnała się trwożnie i powoli, ociągając się jeszcze, skierowała się ku drzwiom.

Fernanda i Paskal pozostali sami.

Jak tylko służąca zniknęła za drzwiami, Paskal przybliżył się do młodej kobiety, podsunął sobie krzesło, na którym rozparł się wygodnie i zwracając się do Fernanda, wpatrzył się w nią stanowczym, zimnym wzrokiem.

— Nie widzieliśmy się od sprawy pana de Compans, Fernando — rzekł poważnie — i właściwie nie jest to moja wina. Chciałem ci podziękować, że zeznaniami swoimi nie obciążałaś mnie zanadto wobec sędziów i temu może zawdzięczam, że jestem obecnie wolny i mogę z tobą mówić.

— Nie zapomniałam jednakże, że zamordowałeś mojego ojca — odparła Fernanda, obrzucając go nienawistnym spojrzeniem.

Paskal wzruszył ramionami.

— Co do tego, moja kochana, to nikt nie wie właściwie, jak się stało — odparł żywo. — A zresztą, co było to było, nie będziemy teraz mówić o przeszłości, bo pora na to niestosowna. Zresztą mam z tobą do pomówienia o innych rzeczach.

— O jakich? — zapytała młoda kobieta, marszcząc brwi z niezadowoleniem.

— Wiesz chyba dobrze, moje kochane dziecko — zaczął rozczulonym głosem Paskal — że nigdy nie miałem majątku osobistego, a to co miałem, zawdzięczałem wspaniałomyślności pana de Compans.

— I jego zasądzenie zrujnowało cię?

— Oczywiście.

— I przychodzisz może żądać odemnie, abym ustanowiła rentę dożywotnią mordercy mojego ojca? — spytała Fernanda, drżąc z oburzenia.

— Mylisz się, moja kochana, to nie o to chodzi — odparł Paskal spokojnie.

— Doprawdy?

— Żadam czegoś więcej.

— Mów więc.

Paskal zdawał się namyślać chwilę, poczem podjął z ożywieniem:

— Posłuchaj mnie, Fernando — rzekł, pochylając się ku młodej kobiecie — pomimo wszystko, co mówiono o mnie, pozostałem dalej wierny mojemu panu i niedawno udało mi się odwiedzić go w Brest, gdzie odsiaduje więzienie.

— Nędznik! — syknęła przez zęby Fernanda — nie musi mu tam być wesoło.

— Och, masz słuszość i żałuję go też z całego serca.

— Ty?

— Oczywiście! On był zawsze dobrym dla mnie.

— Musiał, bo był związany z tobą tą ohydą zbrodnią! — oburzyła się Fernanda.

— Może. Ale sytuacja jego nie jest teraz do pozazdroszczenia. Musiał oddać Frankowi i Lopezowi majątek, który im zabrał niegdyś, a to jest człowiek, który bez majątku żyć nie może. On ma nieraz wspaniałe pomysły, wierzę mi.

— Jakto?

— Czy myślisz, że on zamierza zmarnować całe swoje życie w Brest? Och! Ty go nie znasz! On nie należy do tych, co rezygnują łatwo. I jeżeli uda mu się uciec stamtąd, nie będzie tak biedny, jak się zdaje.

— Co? Więc on zamierza wydostać się z Brest? — zawołała Fernanda, wstrząsając się nerwowo.

— On tylko o tem myśli, o tem marzy — uśmiechnął się chytrze Paskal.

— Ależ to szaleństwo!

— Och! Nie takie znowu, jak ci się wydaje! Są większe szaleństwa jeszcze.

— W każdym razie to rzecz nieprawdopodobna, która udać się mu nie może.

Paskal uśmiechnął się.

— Mylisz się, moja kochana — odparł po dłuższej chwili milczenia Paskal. — Nie jest on tak daleki od wykonania swojego planu, jak ci się wydaje.

— Żartujesz chyba.

— Nie, nie żartuję wcale. Wystarczyło panu de Compans, aby pobyl kilka miesięcy w Brest, żeby wszystko doskonale obmyśleć i przygotować. Powtarzam ci, to człowiek wielkich zdolności i pomysłów. Plan jego ucieczki już ułożony o tej porze. Obrachował wszystko ściśle, z całą dokładnością i rozmysłem. Jedna rzecz tylko paraliżuje jego zamiar i wstrzymuje jego działanie. Ażeby mu pomódz do przezwyciężenia tej przeszkody, zdecydowałem się udać się do ciebie.

— Do mnie? — zawołała młoda kobieta, patrząc ze zdumieniem na mówiącego. — Do mnie? A cóż ja w tem pomocną być mogę? Nie zapytałeś mi się nawet, czy zgodzę się na to!

— Ech! To rzecz podrzędna — wyrzekł lekceważąco Paskal. — Tu chodzi o rzecz ważniejszą. Posłuchaj mnie tylko uważnie, moja kochana. Ażeby plan ten się udał w zupełności, musimy koniecznie w porcie Brest mieć do usług swoich okręt, gotowy w każdej chwili do drogi, rozumiesz mnie? Poza tem musimy przekupić dozorcę, jednym słowem musimy tyle złota mieć w rękach, aby wystarczyło na pokonanie wszystkich trudności, któreby się zjawić mogły w ostatniej chwili.

— Cóż dalej? — szepnęła Fernanda, rozumiejąc już teraz, o co chodzi.

— Tam, w więzieniu Brest, niema bogactw, to wiadomo i pan de Compans, ex-bankier, nie różni się pod tym względem od ostatniego żebraka-więźnia. A więc ty, Fernando, musisz nam przyjść z pomocą, rozumiesz? Musisz mi dać możliwość powrócenia wolności jednemu z waszowiekowi, który mnie może uczynić bogatym.

— A więc — rzekła młoda kobieta, siląc się na spokój — liczyłeś na mnie?

— Oczywiście, liczę z wszelką pewnością — odparł Paskal z przekonaniem.

— Przypuśćmy, że zdecyduję się wam przyjść z pomocą, musiałabym mieć u siebie potrzebną wam sumę.

— Ty musisz ją mieć — rzekł Paskal, patrząc zimno na siostrzenicę.

— Ta suma jest wysoka, nieprawdaż?

(Ciąg dalszy nastąpi).